

# PRZEJŚCIE PRZEZ MORZE CZERWONE

**O PRÓBACH UJARZMIENIA KOŚCIOŁA PRZEZ KOMUNISTYCZNE PAŃSTWO Z RYSZARDEM TERLECKIM I JANEM ŻARYNEM ROZMAWIA JAN M. RUMAN**

**J.M.R.** – Kościół w Polsce wkroczył w epokę peerelu wyniszczony wojną i okupacją, ale jednocześnie mając doświadczenie niezwykle bogatego życia organizacyjnego z dwudziestolecia międzywojennego – Akcja Katolicka, Sodaliczka Mariańska czy Chrześcijańskie Związki Zawodowe były wtedy potęgą. Ogarniały szerokie rzesze społeczeństwa.

**J.Ż.** – W okresie II Rzeczypospolitej Kościół katolicki przeżywał dynamiczny rozwój – katolicy walczyli o odzyskanie niepodległości, równolegle zaś Kościół odbudowywał się, zarówno jako instytucja hierarchiczna, jak i jako wspólnota. Odrodzone państwo dało Kościołowi olbrzymią przestrzeń suwerenności, którą zagospodarowywano na różne sposoby. Fenomenem Kościoła katolickiego przed wojną było to, że kilkudziesięciu księży zasiadało w ławach poselskich (w tym 31 kapłanów w Sejmie Ustawodawczym z lat 1919–1922). Ale okres ten charakteryzował też masowy udział młodzieży, szczególnie wiejskiej i małomiasteczkowej, w Akcji Katolickiej, w Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży Męskiej i Żeńskiej, olbrzymi rozwój inteligencji katolickiej, pokolenia, które kształciło się na uniwersytetach w II RP. Chodzi tu o Sodaliczka Mariańską, Katolicką Młodzież Narodową, KSMA „Odrodzenie” czy Iuventus Christiana. Powstawało wiele dzieł, środowisk intelektualnych, np. Laski pod Warszawą z o. Władysławem Kornilowiczem na czele. Rozwijały się wydawnictwa, prasa katolicka, przykładowo „Gość Niedzielny”, „Ateneum Kapłańskie” czy też „Rycerz Niepokalanej”...

**J.M.R.** – Sama tylko Akcja Katolicka co roku wydawała ponad stustronicowy katalog książek...

**R.T.** – Kościół tworzył uniwersytety ludowe, wywierał znaczny wpływ na wiele organizacji politycznych czy związków zawodowych.

**J.Ż.** – ...kapłani współtworzyli ZHP, np. ks. Kazimierz Lutostawski jest twórcą harcerskiej lilijki, intensywnie działa „Caritas”. Można długo wymieniać dzieła, które Kościół potrafił tworzyć dzięki własnej umiejętności i tradycji, ale też z tego powodu, że otoczenie miał łaskawe, czyli wolne państwo polskie, które wolność zawdzięczało także postawie kapłanów w XIX w. oraz w okresie budowania Niepodległej (ks. Stanisław Adamski z Wielkopolski, ks. Józef Londzin ze Śląska Cieszyńskiego czy ks. Ferdynand Machay z Orawy i Spiszu to przywódcy tamtejszych Polaków walczących o zjednoczenie ich ojcowizny z Ojczyzną). I niewątpliwie relacje państwo–Kościół nie były wzorcowe, ale ich cechą charakterystyczną były nie napięcia, tylko właśnie układanie się dwóch zdecydowanie wobec siebie autonomicznych stron. Nie ujednolicono wprawdzie problemu małżeństw w prawodawstwie czy – ostatecznie – kwestii majątkowych, mimo konkordatu nie było ustaw cząstkowych, które

poszłyby dalej w rozwiązywaniu tych problemów. Najważniejsza była jednak wolna przestrzeń – zagwarantowana liberalną ustawą o stowarzyszeniach – do samoorganizowania się katolików. Dotyczyło to zarówno organizacji masowych, takich jak KSM czy ChZZ czy też ludowych czytelni i uniwersytetów, co jest najszerszą płaszczyzną oddziaływania duszpasterskiego, aż po organizacje elitarne, które budowały inteligencję katolicką, czyli grupę społeczną świadczącą o obliczu narodu. Zostało to przerwane 1 września 1939 r. w wyniku wybuchu wojny. Osobny temat – o stratach, które spowodowała II wojna...

## PIERWSZE KROKI W KOMUNIZMIE

**J.M.R.** – Ale po wojnie Kościół ma jednak to doświadczenie rozbudowanego życia organizacyjnego, do którego może się odwołać.

**J.Ż.** – W latach 1945–1947, w pierwszym okresie powojennym, mimo olbrzymich strat czasów okupacji, ponieważ komuniści mieli inne problemy na głowie, czyli podziemie niepodległościowe, PSL, SP, przestrzeń kościelna stała się jedyną alternatywną wobec zacieśnianego i zawłaszczanego przez komunistów spektrum politycznego. Lata 1945–1947, mimo bardzo niekorzystnej sytuacji w Polsce, to czas, kiedy pokolenie pamiętające dwudziestolecie po 6 latach próbowało właśnie w Kościele odzyskać warunki życia organizacyjnego z II RP.

**R.T.** – Składają się na to dwa elementy. Po pierwsze, „wyposzczenie” społeczeństwa, jeśli chodzi o działalność społeczną wokół Kościoła, bo w czasie okupacji była ona niemożliwa. To zaowocowało erupcją inicjatyw społecznych, kulturalnych, oświatowych, gospodarczych. Po drugie, widoczny był wzrost religijności wywołany doświadczeniem wojny, potrzeba odwoływania się do wiary i do Kościoła np. w warunkach zagrożenia życia. Te czynniki złożyły się na to, że działalność społeczna Kościoła miała tak duży zakres w tych pierwszych latach, niekiedy szerszy niż przed wojną, bo powstawały np. szkoły katolickie tam, gdzie ich przed wojną nie było. Powstawały nowe czasopisma czy stowarzyszenia, które rodziły się z potrzeby nadrobienia utraconego czasu.

**J.Ż.** – I z energii, która istniała, a nie mogła się zrealizować w innym wymiarze, ściśle politycznym. Dotyczyło to wielu katolików, sympatyków prawicy: od chadecji, Narodowej Partii Robotniczej, po SN i obydwie ONR-y.

**R.T.** – Wielu katolików i wiele organizacji katolickich należało także do BBWR, a potem Ozonu.

**J.Ż.** – Oczywiście, ta przestrzeń centrowo-prawicowa wypełniana była także przez obóz piłsudczykowski, ponieważ te środowiska zostały bardzo mocno przyhamowane w swoim rozwoju w latach tuż powojennych. Siłą rzeczy energia, która w elicie inteligenckiej istniała, musiała gdzieś się wyładować.

**J.M.R.** – Mimo lat okupacji katolickie życie organizacyjne odrodziło się, i to w specyficzny sposób. Ponieważ stłumiono możliwość działalności politycznej, więc mnóstwo sił angażuje się w działalność katolicką.

R.T. – Bardzo szybko rośnie też liczba powołań po wojnie.

J.M.R. – Powołania rodziły się często już w obozach koncentracyjnych.

J.Ż. – Powojenny wzrost religijności rzutuje też na postawy świeckich wiernych...

## PACYFIKACJA

J.M.R. – Jak dochodzi do tego, że komunści pacyfikują to przebudzenie katolickie, powstające organizacje, zwłaszcza te, które angażują świeckich, i to zwykle młodych? Jak dochodzi do tej pierwszej pacyfikacji?

R.T. – Mówiliśmy o scenariuszu, który był realizowany bezwzględnie od 1945 roku: po pierwsze, zniszczyć podziemie – przede wszystkim zbrojne, po drugie, zniszczyć opozycję legalną, czyli SP i PSL, po trzecie, przejąć kontrolę nad gospodarką, co ostatecznie wykonano w latach 1947–1948 w tzw. bitwie o handel. I wtedy zostawała jeszcze jedna autonomiczna, niezależna, wolna struktura społeczna, którą było opanować i zniszczyć – Kościół. Uderzenie w nią zbiegło się dramatycznie ze zmianą przywództwa w Kościele po śmierci jesienią 1948 r. prymasa Augusta Hlonda i objęciu władzy przez najmłodszego członka Episkopatu, biskupa lubelskiego Stefana Wyszyńskiego. Biskupa posiadającego duże doświadczenie w działalności społecznej, związkowej, w środowiskach robotniczych, ale jednocześnie zdeterminowanego, żeby szukać rozwiązań innych niż te, które wynikały z polityki poprzedniego prymasa. Nowy prymas podejmuje próbę dogadania się, szukania pola kompromisu, zapewnienia Kościołowi podstawowych możliwości funkcjonowania. Z pewnością osłabiło to uderzenie komunistów, którzy chcieli zrealizować dwa cele: najpierw oderwać Kościół w Polsce od Kościoła powszechnego, przeciąć nici, które łączą Polskę ze Stolicą Apostolską. A w następnym ruchu – przejąć kontrolę nad Kościołem, tak jak to się stało z Cerkwią w Rosji. To uderzenie byłoby łatwiejsze, gdyby realizowano politykę Augusta Hlonda, czyli politykę konfrontacji. Prymas Wyszyński wybrał inną drogę, która stwarzała komunistom więcej trudności, bo Kościół reagował elastycznie, proponował porozumienie, czasami ustępował w sprawach, w których wydawało się, że nie może ustąpić. Na przykład w kwestii kolektywizacji rolnictwa, w porozumieniu podpisanym w 1950 r. zawarto akcent, że Kościół nie będzie się sprzeciwiał rozwojowi spółdzielczości na wsi. Ponieważ Kościół na wsi bronił indywidualnej własności ziemi, uderzenie komunistów trafiło tym razem w próżnię.

J.Ż. – Od 1947 roku zaczyna być widoczny nowy etap walki z katolicyzmem, już nie tylko polityczny: wymuszanie na Kościele postawy „cofającego się” – atak na młodzież katolicką i jej prefektów, czyli walka z religią w szkole, ze szkołami zakonnymi, próba ograniczania i likwidacji Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej i Żeńskiej; powolne, ale skuteczne wyrzucanie kapelanów z ZHP; przeciwstawianie się aktywnym prefektom szkolnym, którzy wykładają religię, a jednocześnie są autorytetami i oddziałują na młodzież – zdaniem państwa – w sposób destrukcyjny; atak na inteligencję katolicką, na luventus Christiana czy Sodalicję. Klasycznym przykładem jest aresztowanie jezuitów z o. Tomaszem Rostworowskim na początku 1950 r. To był zakon, który wypracował, zaraz po wojnie, metodę kształcenia akademików, tworzenia z tego środowiska kolejnego pokolenia katolickiego. Ta polityka wypychania Kościoła do kruchty jest zauważana przez prymasa Wyszyńskiego już w 1949 r.

(wtedy powstają plany ograniczenia KUL), dlatego próbuje on hamować ten proces przez poszukiwanie *modus vivendi*. Do 1949 r. nastąpił w zasadzie proces totalnego rozkładu świeckich struktur organizacyjnych w Kościele. Zostaje środowisko „Odrodzenia”, bardzo hołubione przez prymasa. W archidiecezji krakowskiej, dzięki postawie kard. Sapiehy i jego autorytetowi, te struktury funkcjonują dłużej, ostatecznie są likwidowane dopiero w 1953 r.

W odróżnieniu od kolejnych pokoleń komunistów, którzy będą mieli swoje organizacje marksistowskie, od 1949 r. do końca PRL katolicy musieli samoograniczać się w ramach uzyskiwanych od komunistów koncesji na publiczną działalność.

**R.T.** – Jeszcze jeden fakt zaciążył na życiu Kościoła i ciąży do dziś: przesunięcie Polski na mapie Europy ze Wschodu na Zachód. Połowa jej przedwojennego terytorium znalazła się poza obrębem pojąłtańskiej Polski. Znaczna część społeczności przemieściła się stamtąd, wraz z kapłanami, zakonami, na te ziemie, które zostały do Polski przyłączone. Tymczasem reżimowe władze nie uznały na tym terenie władzy kościelnej, kwestionowały jej legalność. To utrudniało odbudowę Kościoła na tych ziemiach i stworzyło poważną trudność, ponieważ tam nie było życia społecznego, a trzeba było od zera stworzyć warunki egzystencji. Zabrakło czasu, żeby odbudować życie katolickie, zanim umocnił się komunizm. Do dziś odczuwamy konsekwencje tej sytuacji.

**J.Ż.** – Ułatwiło to atomizację społeczeństwa na tych terenach, bo nie trzeba było niczego rozbijać, tylko nie dopuścić do powstania.

**R.T.** – Jednym ze sposobów niedopuszczenia do powstania społeczności katolickiej było kwestionowanie legalności władzy kościelnej. To otworzyło drogę do umieszczania swoich ludzi w Kościele, ponieważ wśród duchowieństwa pojawiło się środowisko, które podjęło współpracę z komunistami.

### TRZY TYGODNIKI – TRZY ŚRODOWISKA

**J.M.R.** – Zarysowaliśmy zniszczenie środowisk katolickich po wojnie, powiedzmy teraz o – dziejącym się równolegle – procesie powstawania koncesjonowanych środowisk katolickich. Dlaczego jedne pisma przetrwały, a inne skończyły w więzieniu, fizycznie je zlikwidowano?

**J.Ż.** – Trzeba wspomnieć o trzech najważniejszych organach prasowych, które pojawiły się w 1945 roku. Mam tutaj na myśli „Tygodnik Powszechny”, od marca 1945 r. wychodzący w Krakowie (a także wydawnictwo Znak, które rozpocznie swoje dzieło od 1946 r.), oczywiście „Tygodnik Warszawski”, którego pierwszy numer ukazał się 11 listopada 1945 r., tygodnik „Dziś i Jutro”, ukazujący się od 25 listopada 1945 r. To są trzy środowiska, które na razie – na rok 1945 – wydają się do siebie zbliżone, niekiedy nawet na siebie zachodzące...

**R.T.** – ...przenikające się nawzajem...

**J.Ż.** – Początkowo bywa i tak, że ci sami ludzie piszą w tych trzech pismach. Ale jednocześnie te środowiska obserwują, co się dzieje na zewnątrz, i będą musiały się opowiedzieć wobec zmieniającej się rzeczywistości.

## J.M.R. – Czy już w tym czasie zarysowują się różnice?

J.Ż. – Tak, bo 1945 r. pokazuje, jaka ta przyszłość może być, a to są ludzie inteligentni, więc analizują rzeczywistość. Środowisko „Tygodnika Powszechnego” z Jerzym Turowiczem na czele było zwolennikiem minimalizmu, koncepcji polegającej na unikaniu otwartego starcia z komunizmem i mijania się z nim. Liczono, że kultura stanie się przestrzenią wolną od nacisku ideologicznego i stosowania przymusu bezpośredniego.

Z kolei środowisko chadeków i narodowców skupione w redakcji „Tygodnika Warszawskiego” próbowało w latach 1945–1948 polemizować z marksizmem na wszystkich frontach, świadcząc o wyższości nauki społecznej Kościoła. Polemika z komunistami doprowadziła redakcję do stalinowskiego więzienia oraz do zamknięcia pisma. Ks. Kaczyński zmarł w więzieniu, pozostali głosili swe wykłady z pryczy.

Tymczasem realizm polityczny zaprowadził środowisko „Dziś i Jutro” do oficjalnego uznania ustroju socjalistycznego za lepszy z punktu widzenia możliwości rozwoju Kościoła i katolicyzmu; dzięki temu „odkryciu” stowarzyszenie PAX mogło uczestniczyć w budowaniu „socjalistycznej ojczyzny” z zachowaniem sporej autonomii (własne wydawnictwo, prasa codzienna – „Słowo Powszechne”, zaplecze gospodarcze, szkoła p.w. św. Augustyna w Warszawie, od 1954 r. wpływy w ATK oraz na KUL i inne) oraz zatrudniać u siebie „ludzi wyklętych” – byłych więźniów bez pracy, ale równocześnie środowisko Piaseckiego stanowiło dogodne narzędzie w rękach komunistów skierowane przeciwko prymasowi i prowadzonemu przez niego Kościołowi.



Ks. red. Zygmunt Kaczyński

## J.M.R. – Ale i w postawie „Tygodnika Powszechnego” jest zafałszowanie...

J.Ż. – Nie, to wynika z pewnej analizy rzeczywistości...

J.M.R. – Zafałszowanie dostrzegam w tym, że z jednej strony jest skrajny indywidualizm, skoro nie możemy nic innego, to kształtujemy to, co możemy ukształtować w człowieku, z drugiej strony, niby odzegnując się od kształtowania życia społecznego, jednak się w nim uczestniczy. I to w życiu społecznym kształtowanym przez kogoś innego.

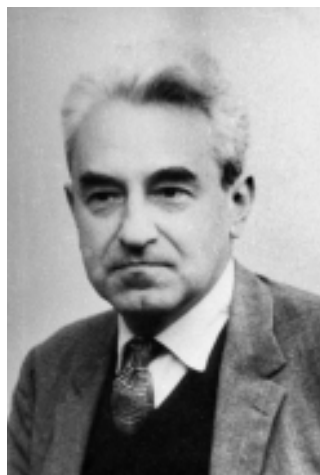
J.Ż. – To jest schizofrenia, ale wywołana przez komunistów, a nie przez nich. To nie jest chciany wariant, tylko wybrany w sytuacji dyskomfortu. Po 1948 r. komuniści przeszli do drugiej fazy rewolucji, w której nie było już miejsca na postawę niezależną. Środowisko „Tygodnika” krakowskiego było także zmuszane do afirmowania coraz to bardziej ryzykownych poczynań władz lub milczenia wobec krzywdy Kościoła (zabór „Caritasu” w styczniu 1950 r. – Paweł Jasienica został oddelegowany do nowego „Caritasu”; udział w wiecach i akcjach typu Apel Sztokholmski, organizowanych przez środowisko Bolesława Piaseckiego czy też „księży-patriotów”). Wytrzymało to ocieranie się ustawiczne o hańbę do 1953 r., kiedy to redaktorzy krakowscy powiedzieli uwalniające ich *non possumus*. Stracili pismo, zachowali twarz i wdzięczność prymasa Wyszyńskiego.

Zdecydowanie bliższa jest mi linia „Tygodnika Warszawskiego”, ponieważ był to wybór czysty intelektualnie i jednoznaczny. Natomiast nie jestem też zwolennikiem potępiania ówczesnego środowiska „Tygodnika Powszechnego”, choć i w tym wypadku najbliższa jest mi postawa ks. Piwowarczyka, który w 1949 r. powiedział: stop.

**J.M.R.** – Ale on od początku prezentował linię chadecką, która była obecna w „Tygodniku Warszawskim”. Uważał, że katolicy nie mogą zrezygnować z wpływu na życie społeczne.

**J.Ż.** – Tak, był autorem artykułu wstępnego w pierwszym numerze pisma, pt. *Ku katolickiej Polsce*, napisał także pod pseudonimem książeczkę o potrzebie istnienia chadecji w Polsce.

**R.T.** – Linia ideowa czy polityczna „Tygodnika Powszechnego” jest do pewnego momentu zbieżna z linią Kościoła i prymasa. Prymas był optymistą. Uważa, że najbardziej opresywna formuła komunizmu, jaką był stalinizm, prędzej czy później przeminie, ulegnie zmianom. Uważał, że do chwili, gdy nastąpi zmiana, Kościół powinien przede wszystkim przetrwać. Nie może dać się wcześniej zniszczyć. W takim przekonaniu utrzymywał też redakcję tygodnika.



Jerzy Turowicz

Kiedy ta linia się załamuje? W momencie, kiedy zaczynają się wielkie procesy sądowe ludzi Kościoła. Proces kurii w Krakowie, a więc tam, gdzie działa tygodnik, jest najbardziej namacalnym tego dowodem. Ale ostatecznie ta linia załamuje się, gdy Kościół zamierza powiedzieć *non possumus* w odpowiedzi na dekret wydany 9 lutego 1953 r., który ubezwłasnowolnia Kościół. Kościół już wie, że tu ustąpić nie może, i zwalnia „Tygodnik” z „obowiązku” trwania (oczywiście to trwanie było też wyborem redakcji). Wtedy natychmiast następuje zerwanie tej linii. Śmierć Stalina jest tylko pretekstem, żeby się wyrwać z pograżania w coraz dalej idące kompromisy. Tygodnik przestaje się ukazywać, a Episkopat kieruje do władz memoriał, w którym stwierdza, że granica została osiągnięta i dalej już ustępować się nie da. Było zrzuceniem Opatrzności, że w tym samym czasie śmierć Stalina zapoczątkowuje odwilż, choć jeszcze nie wobec Kościoła w Polsce, która z czasem doprowadzi do zmiany tej dramatycznej sytuacji.

**J.Ż.** – Decyzja z marca 1953 r. dla Turowicza czy Stompy była pewnego rodzaju uwolnieniem od dramatycznej sytuacji, w której znajdowali się od pewnego czasu. Oni byli przecież świadomi tych kompromisów, jakie podejmowali wcześniej na rzecz scenariusza, w którym „Tygodnik Powszechny” ma trwać, czyli tej patologii, w której funkcjonowali. Przy każdym kompromisie pozostawało poczucie uczestnictwa w czymś, z czego trzeba się otrząpywać. To jest taki mariaż z komunistami ze wstrętem. I to różni ludzi „Tygodnika” od środowiska tygodnika „Dziś i Jutro”.

**J.M.R.** – No właśnie, linii tego trzeciego środowiska jeszcze nie opisaliśmy...

**J.Ż.** – Autorzy tygodnika „Dziś i Jutro” zaprezentowali swój punkt widzenia, jeśli chodzi o kontakty środowiska katolickiego z władzami państwa komunistycznego, w słynnym liście do niejakiego pana Juliusza Łady z końca 1948 roku. Ich ówczesne myślenie jest następujące. Istnieje świat dwubiegunowy – socjalizm i kapitalizm. W świecie tak ukształtowanym bez naszego wpływu nie ma miejsca na trzecią siłę. Katolicy, którzy mieszkają w Polsce, jeżeli chcą funkcjonować i mieć wpływ na rzeczywistość, muszą zaakceptować, do granic dotyczących kwestii światopoglądowych, realny socjalizm, który w tej części Europy dominuje. W zmienionych warunkach po 1956 r. Piasecki nazwał to koncepcją „wieloswiatopoglądowości”; przy czym miał nadzieję, że Gomułka uzna go za godnego siebie partnera w tworzeniu dwubiegunowej sceny ideowej. PRL – miejsce spotkania marksizmu z katolicyzmem. Oczywiście, Gomułka nie zamierzał traktować Piaseckiego jako partnera.

**R.T.** – Umówmy się, aby w tej rozmowie używać nazwy komunizm; już w latach 50. komunistów w Polsce dla politycznego kamuflażu nazywali swoją doktrynę socjalizmem, jednak dzisiaj takie określenie powoduje pojęciowy chaos. Polscy socjaliści, którzy wówczas siedzieli w więzieniach lub działali na emigracji, a tym bardziej socjaliści rządzący w tym okresie w Szwecji czy w Danii, z komunistami nie chcieli mieć nic wspólnego.

**J.Ż.** – Ma pan rację. Próbuję streszczać artykuł programowy, który się wówczas ukazał, zapowiadający, jaką postawę to środowisko przyjmie. Ta postawa zrodziła tragiczne następstwa. Środowisko „Dziś i Jutro” (od 1952 r. Stowarzyszenia PAX) tworzy wprawdzie typ parasola dla dzieł pozytywnych – przede wszystkim zatrudnia ludzi wychodzących z więzień, pomaga rodzinom, których ojcowie i synowie siedzą w więzieniach, i wreszcie tworzy przestrzeń kulturalną w postaci Instytutu Wydawniczego, który na tle tytułów „Czytelnika” czy PIW staje się alternatywną propozycją czytelnictwa. To są ważne pozytywistyczne osiągnięcia, ale niestety koszta tego są potworne: wchodzenie w układ z władzą komunistyczną w tych momentach, w których pojawiają się napięcia między państwem a Kościołem. Zaraz po porozumieniu z 14 kwietnia 1950 r. te napięcia są niemal codziennie, szczególnie bolesne dla prymasa w związku z ustawicznymi oskarżeniami ze strony władz o niechęć Kościoła do uregulowania organizacji diecezjalnej na ziemiach zachodnich i północnych, czyli o brak patriotyzmu. Środowisko jest natychmiast wprężnięte w legitymizowanie językiem katolickim bezprawia i propagandowego fałszu, tworzonego przez stronę komunistyczną. To rodzi drugą, bardzo negatywną, konsekwencję – rozbijanie środowiska katolickiego, zarówno duchowieństwa, jak i świeckich. Skuteczność Bolesława Piaseckiego odciąga od linii prymasa coraz więcej kapłanów. Dla Episkopatu Polski nie są niebezpieczni księża-patrioci, często ludzie zdegenerowani, dużo większe niebezpieczeństwo z perspektywy długiego trwania narodu wynika z tego, że znalazło się wielu autentycznych intelektualistów, którzy przyjęli koncepcję swojej „teologii wyzwolenia”, czyli „progresizmu” – autorstwa PAX. Tu widzę największą szkodę



Bolesław Piasecki

wyrządzaną przez Piaseckiego. Nie w manewrach taktycznych, które prowadził z władzami, tylko we wprowadzeniu intelektualnego zamętu w głowach polskiej inteligencji. Szczęśliwie Stolica Apostolska w 1955 r. jednoznacznie potępiła sposób myślenia zarysowany przez Piaseckiego w *Zagadnieniach istotnych*, ale propaganda komunistyczna nie pozwoliła na wyjaśnienie dekretu Stolicy Apostolskiej, wobec tego to zło dalej się tliło. Wydobywanie ludzi z tej patologii udało się prymasowi Wyszyńskiemu po 1956 r., kiedy wprowadził Wielką Nowennę jako program ozdrowieńczy dla inteligencji i całego Narodu Polskiego.

**R.T.** – Środowisko „Dziś i Jutro” od początku było propozycją kolaboracji. To był pomysł, aby przekonać komunistów, że dla utrwalania ich władzy może być pożyteczna taka „resztówka” katolicyzmu. Była to także pokusa kolaboracji dla części Kościoła i środowisk katolickich. Wobec terroru i grozy lat stalinowskich taka ucieczka w bezpieczny zaułek, gdzie można zachować resztki, choćby odrobinę wartości i zasad, którym się służyło i którym się wierzyło, to była propozycja bardzo kusząca. Zwłaszcza w chwili, kiedy wszystko się rozsypywało, księża zdradzali, a inni, którzy nie zdradzali, szli do więzienia; kiedy biskupi podpisali ślubowanie na wierność władzy ludowej i kiedy uwięziono prymasa, w którego obronie w nadal przecież katolickim kraju nie podniósł się żaden głos protestu. „Dziś i Jutro” dawało schronienie przed paraliżującym strachem.

**J.Ż.** – Żaden zauważalny głos protestu podnieść się nie mógł, a niezauważalny, gdy się podnosił, natychmiast tłumiony był przez UB i jego agentów.

**R.T.** – Oczywiście. Zresztą jeden był: ks. Wojciech Zink, wikariusz kapitulny w Olsztynie, który nie zgodził się ogłosić wymuszonego komunikatu o uwięzieniu prymasa i został aresztowany.

**J.Ż.** – Dziś mamy na ten temat większą wiedzę, w odpowiedzi na uwięzienie prymasa powstało wtedy kilka młodzieżowych organizacji podziemnych. Bo warunki totalitaryzmu były tak jednoznaczne, że ludzie dorośli zdawali sobie sprawę, iż jest to dawanie świadectwa tylko po to, żeby pójść do więzienia. Jest pewna granica sensowności manifestowania swojego poglądu. Wierność prymasowi głośno deklarowała Jasna Góra.

## KSIĘŻA-PATRIOCI

**J.M.R.** – Wspomnieli panowie o tzw. księżach-patriotach, jak zaczęła się ta forma jawnej przecież współpracy z komunistami?

**R.T.** – Zaczęło się od tego, że wybrano ludzi, którzy zostali złamani już w obozach niemieckich, którzy przeszli traumatyczne doświadczenia i żyli strachem, że tamte doświadczenia się powtórzą. Zaczęło się więc od garstki ludzi, których łatwo było zastraszyć. To był trzon tego ruchu – kapłani, którzy wyszli z wojny w aureoli męczeństwa, ale byli złamani psychicznie. Wokół nich zaczęto budować to środowisko. Bardzo trudno było duchownym odmówić udziału w spotkaniu, w którym uczestniczył kapłan – niemal święty, który wyszedł z obozu, przeszedł tam straszne rzeczy, a teraz opowiada o tym wiernym. Do takiego spotkania dopraszano więc paru innych uczestników, którym trudno było się wymówić. Ruch księży-patriotów zaczynał się od takich podstępów.



**J.Ż.** – Tam jest i drugie środowisko, kapelanów wojskowych LWP, które było łatwiejsze do zagospodarowania...

**J.M.R.** – ...bo już indoktrynowane wcześniej.

**J.Ż.** – Wszystko to w konflikcie z Episkopatem. Ponieważ biskup polowy był poza krajem, powodowało to możliwość łatwego manipulowania tym środowiskiem przez władze wojskowe, a de facto komunistyczne. Od początku do końca ten ruch był sterowany przez wojewódzkie urzędy bezpieczeństwa publicznego i V Departament MBP; był ruchem wywołanym przez UB do działań opresyjnych wobec Kościoła. Klasyczny przykład: zabór „Caritasu”; wówczas zaangażowano to środowisko do obsadzania stanowisk w zarządach przymusowych, co dało podstawę organizacyjną ruchu księży-patriotów, czyli powołania Głównej Komisji Księży i Okręgowych Komisji Księży.

Cel był taki, aby w miarę narastania represji wobec Kościoła, skutkujących kolejnymi wakacjami na ważnych stanowiskach kościelnych, narastała też liczba „godnych następców” wśród księży-patriotów i kapłanów związanych z PAX. Szkopuł polegał na tym, że komisje księży tworzyło środowisko tak skompromitowane, że nie miało autorytetu. Wobec tego ciężko było, nawet władzom komunistycznym, wprowadzić ten wariant w sposób idealny, to znaczy: biskupa do więzienia a księdza-patriotę na jego miejsce jako wikariusza.

**R.T.** – A trzeba też pamiętać, że nielegalnie wybrani wikariusze otrzymywali potwierdzenie swojej funkcji przez prymasa, który dawał takie potwierdzenia, bo nie chciał całkowicie zdestabilizować struktur kościelnych.

**J.M.R.** – Czy komuniści, tworząc to, łudzili się początkowo, że uda im się przejąć w ten sposób Kościół?

**R.T.** – Byli nawet przekonani, że to zrobią, szczególnie po wprowadzeniu dekretu z 9 lutego 1953 r. i aresztowaniu prymasa we wrześniu tego roku.

**J.M.R.** – Później sami, widząc konkretne przypadki, orientowali się chyba, że nie dadzą rady.

**J.Ż.** – Na przykład w Szczecinie w 1955 r. jezuici zostają pozbawieni kościoła i proboszczem mianowano – taka poszła plotka po mieście – księdza-patriotę. Natychmiast wierni przestali tam chodzić. Ostatecznie w 1955 r. skompromitowany ruch został rozwiązany. Pozostał na placu boju tylko PAX ze swymi „księżmi-intelektualistami”.

## W SEJMIE PRL I NIE TYLKO

**J.M.R.** – Powróćmy jednak do katolików świeckich. Chciałbym, żeby panowie przedstawili środowiska katolickie uczestniczące w życiu politycznym, w Sejmie – PAX, ChSS, Znak. Cechą wspólną wydaje się zgoda na pewną koncesję, ale przecież wiele różniło te środowiska. Skąd zrodził się pomysł koncesji na działalność polityczną katolików w komunistycznym państwie totalitarnym?

**R.T.** – Komuniści potrzebowali pozoru pewnego pluralizmu politycznego, szczególnie po 1956 r., w rozmaitych kontaktach zagranicznych, w prezentacjach na forum międzynarodowym, w organizacjach międzynarodowych itd. Dlatego zachowali taką przybudówkę katolicką czy chrześcijańską przy komunistycznym państwie – taką bardzo skromną synekurę. I o tę przybudówkę walczyły różne środowiska, walczył bardzo zawzięcie PAX, a potem rozmaici jego konkurenci, którzy pojawiali się po 1956 r. Komuniści pozwalali im się tam tłoczyć, na tej malutkiej przestrzeni pseudoswobody czy pseudowolności religijnej. Religijnej w tym sensie, że instytucje związane z Kościołem, albo udające, że są z nim związane, mogły tam działać. Czym innym była natomiast chwila słabości komuny w 1956, a właściwie na początku 1957 r., czyli wpuszczenie w struktury państwa drobnych okruszków rzeczywistego środowiska katolickiego. Historia koła poselskiego Znak to jest historia tej okruszynki, która się przypadkowo, tzn. w rezultacie pewnej słabości, znalazła się w strukturach państwa, oraz historia stopniowego zamieniania jej na rzecz tych środowisk, które dostały koncesję na udawanie autentycznego ruchu katolickiego.

**J.Ż.** – Zarówno PAX, jak i nowo powstałe Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne i Znak miały za zadanie – szczególnie w chwilach napięcia – legitymizować działania państwa. To żądanie wobec każdego z tych trzech środowisk było artykułowane w inny sposób, ponieważ każde z nich miało inne umocowanie i inną wiarygodność. Środowisko Znak było najbardziej wiarygodne wśród inteligencji katolickiej i duchowieństwa, być może również wśród większości biskupów, a na pewno u prymasa Wyszyńskiego z racji przyjaźni, jaką darzył Jerzego Zawieyskiego. Środowisko Znak, a przede wszystkim warszawskie skupione wokół „Więzi”, niewątpliwie ku radości komunistów krytykowało prymasa za jego antykomunizm, protegowanie Kościoła ludowego i cały program maryjny; w okresie nagonki na prymasa z racji listu biskupów polskich do biskupów niemieckich postowie Znak i redakcja „Tygodnika Powszechnego” nie potrafili się jej przeciwstawić, co bardzo zabolalo kardynała. Udały próby zaangażowania przez ekipę Gomułki ludzi ze środowiska Znak w prowadzenie sondażowych rozmów ze Stolicą Apostolską miały na celu *de facto* osłabienie pozycji prymasa Stefana Wyszyńskiego. Mam na myśli zarówno wizytę Zawieyskiego w Rzymie, chociaż utrzymaną w duchu lojalnym wobec prymasa, jak i potwornie niełojalne wizyty Stanisława Stommy oraz Konrada Górskiego, także z lat 60. Ci dwaj panowie *de facto* donosili na prymasa do Sekretariatu Stanu, by zdezawuować jego politykę wobec władz komunistycznych.



Janusz Zabłocki i Tadeusz Mazowiecki

Próbowali przekonywać, że Watykan dla dobra Kościoła powinien dogadać się z Gomułką, a osobą utrudniającą to zbliżenie jest prymas Wyszyński – a nie reżim komunistyczny i zakłamana propaganda. Ta operacja z połowy lat 60. stronie komunistycznej nie udało się wprowadzić, ale środowisko Znak spełniło funkcję ugrupowania koncesjonowanego.

Z perspektywy interesu Kościoła Znak, ChSS i PAX to środowiska, które – choć znacznie różniły się od

siebie – w każdej chwili mogły stać się narzędziem w rękach władz. Biskupi stale weryfikowali ocenę działań tych środowisk w konkretnych sytuacjach konfliktu państwo–Kościół. Jeśli chodzi o PAX, to nie było żadnego wydarzenia w ciągu lat 50. i 60., które by skłoniło prymasa Wyszyńskiego do rewizji negatywnego poglądu. Wyszyński nie przyjmował Piaseckiego i utwierdzał się w słuszności swojej decyzji. O ile wiem, to jednak pozostawił sobie „kładkę” prowadzącą do Piaseckiego; był nią ks. prałat Stefan Piotrowski z macierzystej parafii Piaseckiego na Mokotowie. ChSS był traktowany przez Episkopat jako środowisko marginalne, chociaż niebezpieczne z jednego punktu widzenia – grupa ta miała ambicję docierania bezpośrednio do przedstawicieli duchowieństwa katolickiego. Natomiast Znak, z racji osoby Jerzego Zawieyskiego, traktowany był z największą dozrą zaufania w porównaniu z dwoma pozostałymi środowiskami. Prymas krytykował jednak lewicowe i promarksistowskie odchylenia widoczne w redakcji „Więzi”, której liderzy: Mazowiecki i Zabłocki, wyszli swego czasu z PAX. Pod koniec lat 60. wybuchnie konflikt z racji wydrukowania w „Więzi” artykułu-ankiety na temat stanu kapłańskiego w Polsce; to oburzy prymasa tak mocno, że zabroni duchowieństwu pisania w tym periodyku.

Te trzy środowiska zbliżały się czasem do jednego wymiaru. Dlaczego tak się działo? Bo w warunkach komunizmu nie było miejsca na trzecią siłę, między ateistycznym państwem a Kościołem i jego wiernymi. Albo, albo...

**J.M.R. – Czy rzeczywiście te trzy środowiska zachowywały się tak podobnie w sytuacjach krytycznych?**

**R.T.** – Usprawiedliwiając trochę środowisko „Tygodnika”, Znak czy KIK-ów, trzeba podkreślić, że ono nie tworzyło jakiejś ściśle sformalizowanej struktury, podobnie jak nie było formalnych związków z hierarchią. Z perspektywy tych środowisk ich działalność to było ciągłe balansowanie na linie w sytuacji, gdy z jednej strony władza oczekiwała posłuszeństwa, a z drugiej Kościół oczekiwał wierności. Ponieważ nie było formalnej struktury, więc wynikały problemy z różnymi indywidualnościami, które się w tym wszystkim poruszały, z ludźmi, którzy mieli ambicje polityczne i w różnych momentach je okazywali – Mazowiecki, Kisielewski, Zawieyski... Wciąż jednak nie było trwałej koncepcji, która by to wszystko scalała. Każdy z nich próbował w różnych momentach grać jakąś grę, która wydawała mu się słuszna, ale trzon tego środowiska tworzyli ludzie, którzy byli za uchylaniem się od polityki, za utrzymaniem KIK-ów, utrzymaniem „Tygodnika”, za wydawaniem książek, za tym, aby można było jeździć po prowincji z odczytami, żeby trwał KUL... I tu dochodziło do spięć także wewnątrz tej grupy. Najtrudniejszy był moment związany z tą kompletnie chybioną inicjatywą soborową (rozmowami w Rzymie), wypowiedzianą przez władze...

**J.M.R.** – Ale chyba później, na przełomie lat 60. i 70., pojawia się problem, bo trzon środowiska organizuje obozy młodzieżowe, stara się w duchu chrześcijańskim wychowywać młodzież, natomiast w „Więzi” ukazują się teksty „żeniące” chrześcijaństwo z socjalizmem.

**R.T.** – Tak, różnice i napięcia między Warszawą i Krakowem pojawiały się kilkakrotnie.

**J.Ż.** – Najbardziej kontestowany artykuł o kapłanach ukazał się, jak mówiłem, pod koniec lat 60. Ale chcę dopowiedzieć o środowisku Znak również i to, że ta grupa ściśle politycz-

na, która ma swoje ambicje, jest bez wątpienia ważnym parasolem chroniącym wszystkie działania pozytywistyczne prowadzone przez członków KIK-ów, umożliwia funkcjonowanie przedsiębiorstwa Libella (finansującego przedsięwzięcia KIK) czy też amortyzuje ewentualne uderzenia w „Tygodnik Powszechny”. Trzeba podkreślić znaczenie KIK-ów w formacji młodzieży wychowywanej przez Stefana Wilkanowicza czy innych działaczy, którzy mają bardzo dużą zasługę dla kształtowania się młodego pokolenia katolickiego. Być może trochę snobistycznego w tym swoim izolowaniu się od świata zewnętrznego, ale jednocześnie ów snobizm ma cechy pozytywne, ponieważ ta młodzież jest w taki sposób leczona z propagandy komunistycznej.

**R.T.** – Najważniejszą rolę odegrał Bohdan Cywiński i jego książka *Rodowody niepokornych*, która – oprócz innych zalet – stała się instrukcją działania dla rodzącej się opozycji demokratycznej.

**J.Ż.** – W samym środowisku Znaku co najmniej od 1968 r., a tym bardziej po śmierci Zawieyskiego, doszło do bardzo ostrego sporu, który jest niejednoznacznie oceniany. Spór wewnątrz tej grupy politycznej przebiegał w dwóch przestrzeniach. Pierwsza dotyczyła kwestii ideowych i tu pojawiły się dwa nurty: nurt podtrzymujący socjalistyczno-katolicki pomysł na funkcjonowanie środowiska inteligencji katolickiej (reprezentowany przez Tadeusza Mazowieckiego i redakcję „Więzi”) i nurt chadecki, bliższy prymasowi (od 1967 r. sformalizowany w ODiSS i reprezentowany przez Janusza Zabłockiego). Drugi poważny spór odbywa się w roku 1968 między zwolennikami podtrzymywania relacji z ekipą Gomułki – Stomną i Mazowieckim – a Zabłockim i Łubieńskim, zwolennikami utrzymywania kontaktów z ekipą Moczara i Gierka, która może – jak się wydaje – za chwilę przejąć władzę. Ten spór rzutuje na sytuację wewnątrz środowiska Znaku i ma swoje konsekwencje w funkcjonowaniu posłów Znaku w latach 70. Stomma jest coraz bardziej zniechęcony jałowością pracy w sejmie, a Łubieński i Zabłocki, ze względu na to, że postawili na silniejszego konia, czyli na Gierka, konsumują ten słuszny w sensie taktycznym wybór. Na to nakłada się lepszy kontakt prymasa Wyszyńskiego z grupą Zabłockiego i Łubieńskiego, czyli paradoksalnie z grupą w latach 70. głębiej współpracującą z władzami niż grupa Mazowieckiego i Stommy, która zaczyna się z tej kolaboracji wycofywać, ale pozostaje przy krytyce katolicyzmu prymasa – rzekomo „zamkniętego”.

**R.T.** – Trzeba pamiętać, że biskupi uważnie przypatrywali się tej grupie świeckich katolików, zaangażowanych w politykę na polu akceptowanym przez władze, ale jednocześnie cały czas poszukiwali możliwości tworzenia wokół hierarchii własnego pola społecznego działania poprzez różne akcje charytatywne, ruchy trzeźwościowe, struktury przykościelne itd. Wspólnym polem, które było tworzone przez Kościół, a na które jednocześnie bardzo mocno oddziaływały środowiska znakowsko-więziowskie, były duszpasterstwa akademickie. Stały się one wielką nadzieją Kościoła. Jednocześnie wpływy „Tygodnika Powszechnego”, Znaku czy „Więzi” w grupach katolickiej młodzieży akademickiej były znaczne. Kościół musiał się z tym pogodzić, długo nie miał alternatywy. Dopiero w latach 70. pojawia się alternatywa ruchu młodzieżowego, czyli bardzo mocno zakorzeniony w liturgii i nauczaniu Kościoła Ruch Światło-Życie. Ruch oazowy rywalizuje teraz z tym całym ruchem inteligentko-moralno-akademickim i wymądrzającym się na temat Kościoła i w Kościele, bo ma zupełnie inny charakter. Kładzie silny akcent na życie modlitwy, przeżywanie liturgii i właś-

nie w tym, a nie w akademickich dyskusjach, upatruje punktu wyjścia do zaangażowania społecznego.

## NIEFORMALNE ŚRODOWISKA KATOLICKIE

**J.M.R. – To jest już nowa jakość.**

**J.Ż.** – Nie widzę opozycji między tymi różnymi inicjatywami. W latach 70. pojawia się nowe pokolenie Polaków. Widać też niespełnione nadzieje dekady gierkowskiej, która bardzo mało dała młodzieży. Ekipa Gierka przyniosła wewnętrzny fałsz, zakłamanie, które stają się pseudopropozycją dla młodych. Wielu z tego korzysta, ale inni odrzucają złoto. Dla nich, dla poszukujących siebie i Boga pozostaje Kościół – coraz barwniejszy od propozycji duszpasterskich. Pod koniec lat 60. u ks. Kantorskiego odbywa się pierwsza Msza św. bigbitowa z udziałem zespołu Czerwono-Czarni; świątynia staje się miejscem nowych inicjatyw. Dokonuje się rozwój duszpasterstwa akademickiego, ale także takich inicjatyw jak Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej, Sacrosong, Tygodnie Społeczne, oraz – w porównaniu z latami 60. – powstaje olbrzymi ruch pielgrzymkowy (sama 17 – grupa akademicka Warszawskiej Pieszej Pielgrzymki, tak się rozrasta, że latem 1980 roku powstaje osobna pielgrzymka akademicka). Kościół, mimo rzekomego konserwatyzmu, otwiera się na nowoczesną kulturę masową. To jest cała gama propozycji, które uwzględniają nowe potrzeby intelektualne i moralne młodzieży zagubionej i odrzucającej oferty komunistyczne, nieodpowiadające jej aspiracjom. Na tym polega zwycięstwo Kościoła lat 70. – po raz kolejny młode pokolenie zostało przejęte przez Kościół, a nie przez partię, choć niestety partia też zebrała swoje żniwo. Mieszkanie, dobra pensja, sklepy dla uprzywilejowanych, kariera...

**J.M.R. – Te wszystkie inicjatywy, które pan wymienił, nawet pielgrzymkowe siedemnastki, to ciągle była jednak dość wąska propozycja, adresowana głównie do inteligencji, do studentów...**

**J.Ż.** – Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej to już nie jest fenomen inteligencji, to jest bardziej masowe zjawisko.

**J.M.R. – Tygodnie Kultury odbywają się w świątyniach i są prezentacją kultury chrześcijańskiej na szerszą skalę. Nie zeszyły one jednak nigdy na poziom przeciętnej parafii. Tymczasem oddolnie wyrasta inicjatywa ks. Blachnickiego, w którą włącza się kilkaset tysięcy ludzi młodych. W Ruchu Światło-Życie**

Fot. ks. Józef Grygorowicz



Bp Tadeusz Błaszkiewicz (delegat Episkopatu ds. służby liturgicznej) przysłuchuje się świadectwom uczestników oaz podczas Dnia Wspólnoty na górze Błyszcz – 18 sierpnia 1974 r.

spotykają się na dwutygodniowych rekolekcjach oazowych i później uczestniczą w regularnej formacji w ciągu roku szkolnego nie tylko inteligencji, ale młodzi ludzie z bardzo różnych środowisk.

**J.Ż.** – Tak, według wyliczeń historyków od połowy lat 60. do końca 80. co najmniej 2 mln młodzieży szkół średnich w wieku 15–18 lat uczestniczyło w ruchu oazowym. To jest niewątpliwym fenomenem, nieporównywalnym z żadną inną organizacją katolicką. To cała instytucja z ks. Franciszkiem Blachnickim na czele ze „stolicą” w Krościenku.

**J.M.R.** – To są ludzie, którzy mają już jakieś doświadczenie robienia czegoś razem. To nie przypadek, że ks. Blachnicki organizuje rekolekcje rozsiane w górskich wioskach, ale zawsze odbywa się tzw. dzień wspólnoty, podczas którego ci młodzi mogą zobaczyć, że jest ich mnóstwo. Takie dni wspólnoty gromadzą po kilkaset osób. Dla tych młodych to nie jest bez znaczenia, że mogą zobaczyć setki podobnie myślących rówieśników, że Mszę św. pod jakimś wzgórzem odprawia dla nich kardynał Wojtyła, który specjalnie do nich przyjeżdża. Oni widzą, że – wbrew propagandzie – są siłą. Później to przynosi owoce podczas pierwszej pielgrzymki papieskiej do Polski i w roku 1980.

**J.Ż.** – W aktach Urzędu ds. Wyznań, a zapewne i w esbeckich, są całe tomy poświęcone ks. Blachnickiemu i oazom. Przewija się głównie jeden wątek, który powoduje, że należy się interesować tym ruchem – to, że tworzy on struktury organizacyjne, tzn. wkracza w przestrzeń, która miała być wyłącznie w gestii nomenklaturowego państwa. Miały być tylko organizacje komunistyczne, marksistowskie i w nich młodzież miała się uczyć organizacji życia wspólnotowego, a tu tworzy się olbrzymia, autentyczna struktura konkurencyjna. Warto przypomnieć, że KIK-i też były miejscem, w którym młodzież uczyła się organizacji, ale ze względu na mniejsze oddziaływanie społeczne komunistom wydawało się, że to doświadczenie nie jest tak groźne dla rozwoju socjalistycznego społeczeństwa jak oazy.

Bardzo ważną rolę w pozyskiwaniu młodego pokolenia odegrał Episkopat. Nauczanie prymasa Wyszyńskiego z tych lat często jest adresowane wprost do młodych. Młodzież jest traktowana, może po raz pierwszy tak dobitnie, jako partner, któremu przedstawia się sposób myślenia Kościoła. Kazania skierowane przez prymasa Wyszyńskiego do młodzieży i kazania tzw. świętokrzyskie, czyli te wypowiedziane w kościele Świętego Krzyża w Warszawie, to jest przekaz prawdy wiary dla tworzącego się młodego pokolenia. Głównym tematem korespondencji Rady Głównej Episkopatu z władzami w tym czasie jest oświata, wychowanie i patologie powstające w tym zakresie w wyniku inicjatyw władz komunistycznych, zakłamanej propagandy sukcesu. Na tym tle dochodzi też do częstych konfliktów między państwem a Kościołem. Młodzież to widzi i czuje...

**J.M.R.** – Równoległe z nauczaniem prymasa Wyszyńskiego kard. Karol Wojtyła otcza opieką duszpasterstwa akademickie, żywo interesuje się rozwojem ruchu oazowego. Pomaga ks. Blachnickiemu przezwyciężać przeszkody mnożone przez władze. Swoją obecnością na wielkich spotkaniach oazowych uświadamia władzom, że walka z oazami oznacza walkę z całym Kościołem katolickim w Polsce. Podobnie wspiera i rozciąga parasol ochronny nad mniejszymi inicjatywami, takimi jak Sacrosong. Bez niego nie do pomyslenia byłaby inicjatywa chrześcijańskiego festiwalu.

**J.Ż.** – Kard. Wojtyła jest postacią, która została oddelegowana przez Episkopat do podtrzymywania kontaktu z inteligencją katolicką. Mam wrażenie, że te rzekome napięcia między kardynałami były podsycane niestety także przez środowisko krakowskiej inteligencji katolickiej; to była pewna plotkarska życzeniowość otoczenia kardynała Wojtyły, niestety docierająca via agentura do IV Departamentu MSW.



Prymas Wyszyński wśród młodzieży, Studzianka, lipiec 1980 r.

Podobnie uważano w resorcie, że kardynał Wojtyła jest skłócony z bp. Ablewiczem z Tarnowa, a nawet z bp. Tokarczukiem. W rzeczywistości napięcia między hierarchami – w tym między prymasem i późniejszym papieżem – nie miały wiele wspólnego z oceną komunizmu, a lojalność wobec prymasa była cechą nadrzędną wspomnianych hierarchów, ponad sporami. Być może, kardynał Wojtyła jako akademik był mniej skory do ceremonialnego i emocjonalnego przeżywania wiary na rzecz bardziej intelektualnego...

**J.M.R.** – Nie do końca zgadzam się, że te role były tak różne. Inteligencja tak bardzo krytkowała ten tzw. Kościół ludowy Wyszyńskiego, a ja pamiętam Wojtyłę, który przyjeżdżał do oaz na dni wspólnoty pod koniec lat 70., który przekazywał tam bardzo poważne przesłanie teologiczne o Kościele, tłumaczył, czym jest Kościół, a jednocześnie mówił: „jesteście na Podhalu, tu ludzie mają prostą, ale bardzo silną wiarę, korzystajcie z doświadczenia tych ludzi. Przyjmijcie ich świadectwo, uczcie się od nich prawdziwej wiary”. To jest bardzo charakterystyczne dla religijności samego kard. Wojtyły – łączenie głębokiej wiedzy z prostotą wiary. Nie powiedziałbym, że to było takie odległe od stanowiska prymasa.

**R.T.** – W zestawieniu tych dwóch postaw: Wyszyńskiego i Wojtyły, trzeba pamiętać, że Wojtyła nie miał w sobie nic z księcia Kościoła, co z kolei było bardzo wyraźne w osobowości prymasa, który był człowiekiem wielkiego autorytetu. Wojtyła miał styl zachowania, który trochę nie mieścił się w ówczesnym wizerunku biskupa, kardynała. Widać to i w kontaktach z władzami, i w kontaktach duszpasterskich z młodzieżą. Kiedy musiał spotykać się jako arcybiskup, kardynał z władzami, nie chciał, aby jego „partnerzy” odnieśli wrażenie, że się nad nich wywyższa. A w kontakcie z młodzieżą studencką skracał dystans, przyjmował przyjacielską formułę kontaktu.

## WSPÓŁPRACA Z BEZPIEKĄ

**J.M.R.** – Powiedzieliśmy kilka słów o pomnikowych postaciach naszego Kościoła, które nadal pozostają punktami odniesienia. Spróbujmy teraz dotknąć ciemnej

strony, tematu bolesnego dla Kościoła, czyli werbowania księży i działaczy katolickich do współpracy z bezpieką. Jaki był cel werbowania tych współpracowników na przestrzeni kilkudziesięciu lat?

**R.T.** – W pierwszym okresie, tzn. od końca lat 40. do połowy 50., paradoksalnie można powiedzieć, że ta agentura była stosunkowo mało potrzebna bezpiece. Choć w ogóle była liczna i osiągała ponad 80 tysięcy konfidentów, to na terenie Kościoła nie była specjalnie rozbudowywana. Z dwóch prostych powodów. Po pierwsze, żeby się czegoś dowiedzieć, zdobyć potrzebne informacje, można było wziąć osobę duchowną, wpuścić w magiel ubekkich metod śledczych i najczęściej uzyskać niezbędne wiadomości. Ci, co wytrzymywali te tortury, musieli wykazać się niezwykłą odpornością. Po drugie, było w Kościele środowisko, mocno w nim osadzone, liczące ponad tysiąc osób duchownych, kolaborujące z reżimem; byli to księża-patrioci oraz rozmaite odmiany i przybudówki tego ruchu.

**J.Ż.** – Tak, ruchy księży-patriotów i księży-intelektualistów sterowane są od początku przez bezpiekę. Jeśli chodzi o księży-patriotów, to nie ma co do tego wątpliwości. W marcu 1949 r. szefowie wojewódzkich urzędów bezpieczeństwa publicznego otrzymują informację i instrukcję, że mają rozpocząć pozyskiwanie księży do ruchu – jak się później okazało – „księży-patriotów”. Mają utworzyć teczki osobowe wszystkich kapłanów. Gdy jesienią 1949 r. ten ruch zaczyna się pojawiać, pojawiają się też w raportach wiadomości, że właśnie „nasi księża” zorganizowali jakieś tam spotkanie. Sformułowanie „nasi księża” jest jednoznaczny wskazówką, przez kogo inspirowane są działania zbiorowe tego środowiska, nawet jeżeli ci księża nie są tajnymi informatorami zarejestrowanymi w ówczesnej dokumentacji UB.

**R.T.** – W tym czasie agentura była więc właściwie niepotrzebna; agentura w tym znaczeniu, w jakim my ją przede wszystkim rozumiemy, czyli agentura dostarczająca informacji.

**J.M.R.** – A później?

**R.T.** – Później ta sytuacja uległa gruntownej zmianie: liczba konfidentów radykalnie zmalała, natomiast wzrosła w Kościele. Przez wiele lat, od 1956 r. do połowy lat 70., mamy do czynienia z organizowaniem agentury przede wszystkim informacyjnej. Są też agenci wpływu, ale podstawowym zadaniem tajnych współpracowników jest dostarczanie informacji z tych środowisk, które są ważne: o biskupach, kuriach i parafiach, a także o osobach czy grupach osób, duchownych lub związanych z Kościołem, angażujących się w sposób groźny dla reżimu. W takich miejscach, które zdaniem władzy mogły być „zagrożone”, pozyskiwano jako tajnych współpracowników kapłanów – kurialistów, proboszczów, wikariuszy. Nie było ich wcale tak wielu, jak może się wydawać w czasie obecnych debat...

**J.Ż.** – Osobny problem to zakony. Przede wszystkim zgromadzenia męskie, które mają w swoim duszpasterskim zadaniu docieranie do środowisk świeckich, czyli te zgromadzenia, które są bardziej zaangażowane w budowanie wizerunku w życiu publicznym: jezuici, dominikanie, redemptoryści. Najsilniej represjonowane i inwigilowane były te zakony, co do których SB ma coraz więcej planów.



**R.T.** – Ta agentura ma przede wszystkim dostarczać informacji, poza znacznie rzadszymi przypadkami „agentów wpływu”. Sytuacja zmienia się od połowy lat 70., kiedy pojawia się opozycja i bardzo nasilają się jej kontakty z Kościołem. Wtedy uznano, że trzeba pilnie rozbudowywać agenturę, zarówno dostarczającą informacji, jak i oddziałującą na instytucje i ludzi Kościoła. Dalsze zmiany dokonują się po 1980 r., kiedy – moim zdaniem – agentura ma już nie tylko dostarczać informacji i oddziaływać w kierunku wygodnym dla władz, ale także przyczyniać się do swoistego upodlenia społeczeństwa, w tym Kościoła. Wówczas pozyskuje się agentów, nawet wtedy, gdy nie dostarczają jakichś ważnych informacji, po to by wykazać słabość i moralny upadek rozmaitych środowisk, które sprzedają się za niewielkie pieniądze lub za skromne przywileje. Agentów „kompletuje” się po to, aby w odpowiednim momencie pokazać, że nawet Kościół przeżarty jest wpływami bezpieki i komunistycznej władzy. Stąd już tylko krok do upowszechniania opinii o tym, że „nie było niezłomnych”, „wszyscy byli umoczeni”, „nikt nie ma moralnego prawa osądzać innych” itd.

**J.Ż.** – Urząd Bezpieczeństwa, a po 1956 r. Służba Bezpieczeństwa były to instytucje służebne wobec partii i wobec wyzwań, które władze PRL stawiały sobie wobec Kościoła. Z tej perspektywy patrząc, w latach 1945–1956 funkcjonariusze UB byli trenowani do tego, aby działać na terenie kościelnym, zgodnie z pewnymi metodami wypracowanymi wcześniej w walce z podziemiem niepodległościowym czy z PSL. To powoduje zdecydowaną brutalizację działających wobec duchowieństwa, które albo jest wsadzane do więzienia, albo pozyskiwane do współpracy tajnej lub jawnej (księża-patrioci i księża-intelektualiści). Metoda werbunkowa jest podyktowana dość prymitywnym sposobem patrzenia na „wroga klasowego”. Klasyczna metoda werbunkowa w latach 40. i 50. polega na stosowaniu wobec księdza czytelnego szantażu: aresztowanie i dalsza ścieżka represyjna, ze skazaniem na wieloletnie więzienie włącznie, albo współpraca. Takie formy werbunku stosuje się wobec pokolenia księży, które jest w większości bardzo twarde, wychowane jeszcze w II RP i mające za sobą doświadczenie II wojny światowej. Znamy takie przypadki, np. ojca Aleksandra Woźnego, który gdy otrzymał informacje od funkcjonariusza SB, że grożą mu 2 lata więzienia za przeczytanie komunikatu kard. Sapiehy nt. rozwiązania „Caritasu” (z 12 lutego 1959 r.), powiadomił wiernych, że za chwilę przeczyta komunikat, który może go kosztować więzienie, a zatem przed lekturą chce się pożegnać z parafianami. I po prostu go przeczytał. Dostał rok więzienia, więc i tak potraktowano go, z punktu widzenia władz komunistycznych, bardzo ulgowo. W pierwszym okresie widać więc brutalność bezpieki, a jednocześnie ograniczoną możliwość oddziaływania na duchownych.

**R.T.** – Ale sama bezpieka w swoich dokumentach wyraźnie się do tego przyznaje, że najmniej ceni sobie konfidentów pozyskanych właśnie w ten sposób, tzn. na podstawie szantażu lub materiałów kompromitujących. Ideałem dla niej są tajni współpracownicy, którzy będą to robić z pobudek „patriotycznych”, czyli nie ze strachu, a dla niezaspokojonych ambicji czy dla rozmaitych korzyści.

**J.Ż.** – Jeśli byśmy spróbowali nakręcić krótki film z rozmowy werbunkowej w roku 1950, to główna scena wyglądałaby następująco: z lampką ustawioną obok siebie siedzi funkcjonariusz, świeci tą lampką w oczy kapłanowi, któremu opowiada, że zaraz znajdzie się on w więzieniu, ponieważ mają na niego materiał, że był kapelanem Armii Krajowej w czasie wojny, i w związku z tym może by zaczął z nimi współpracować.

Natomiast w końcu lat 60. powoli zaczyna się pojawiać nowe pokolenie funkcjonariuszy bezpieczeństwa, którzy wywodzą się z tzw. pierwszego pokolenia inteligencji komunistycznej. Nie twierdzą, że są moralnie lepiej ukształtowani, wręcz odwrotnie – cynizm i patologia etyczna są stałym zjawiskiem w tym środowisku. Ale są lepiej wykształceni i potrafią dostosować się do nowego zadania, które muszą wziąć na siebie, czyli próby zrelatywizowania własnej roli wobec werbowanego kapłana. Celem jest pozyskanie „dobrych” agentów, którzy by przekazywali informacje prawdziwe i byli stałymi dostarczycielami informacji, a nie osobami, które ciągle unikają kontaktu, kręcą. Stąd w latach 60. nacisk jest położony na długofalowe pozyskiwanie kandydata na TW. Wymagana jest cierpliwość. Kategoria kandydata na tajnego współpracownika, która zaczyna być widoczna od lat 60., jest kategorią osoby, wobec której funkcjonariusz ma cierpliwie i długotrwale zastosować różnego typu techniki operacyjne i techniki służące pozyskaniu. Funkcjonariusz ma lepiej zrozumieć pozyskiwaną osobę, zebrać o niej więcej dokumentów, znaleźć w niej słabe strony i przez tę wiedzę operacyjną zmusić do współpracy na warunkach, które ta osoba przyjmie, a nie na warunkach, które będą przesadzone i doprowadzą do „urwania się” danego kandydata na TW z zamierzonej współpracy. Czynniki wpływające na zmianę metod werbunku od lat powojennych do połowy lat 70. przedstawiłbym więc następująco: zmiana samego systemu komunistycznego po 1956 r., zmiana pokoleniowa wśród funkcjonariuszy UB i SB i wreszcie zamiana wąskiego wachlarza szantażu stosowanego wobec księży na rzecz poszerzenia go o środki łagodne, perswazyjne, aż do stanu zaprzyjaźnienia się z agentem. W wytycznych z czerwca 1973 r. jest mowa o tym, że klerycy są fałszywie informowani w WSD o rzekomo antykościelnej działalności SB; trzeba zatem, by funkcjonariusz poprzez samoprezentację zniszczył w młodym kapłanie ten negatywny wizerunek esbeka.

Dobry agent to także taki, który dobrowolnie tę współpracę w pewnym momencie kontynuuje, nawet jeśli na początku jej nie chciał, ale został z czasem przekonany. Dobry agent to ten, który został pozyskany w momencie, kiedy ma on – jak to opisano w raportach – „tendencje wzrostu”, tzn. kiedy jest młodym, dobrze zapowiadającym się kapłanem, który za 10–15 lat może być bardzo przydatny, ponieważ zdobędzie wpływy w Kościele. Tu wkraczamy w cały problem Departamentu I, tzw. wywiadu, ponieważ kierował się on tą zasadą przy pozyskiwaniu TW w momencie starań o paszport. Młodzi księża, wytypowani do dalszej kariery przez swych biskupów, starali się bowiem o paszport. Wiadomo, że awanse w Kościele były i są związane z podjęciem dalszej edukacji w Rzymie. Jeśli prześledzimy kariery biskupów w XX wieku, to czynnik wykształcenia czy pobytu na uczelniach zagranicznych jest ważnym elementem kariery późniejszego biskupa. Wywiad PRL-owski miał więc to dodatkowe narzędzie, które mógł stosować do werbunku. Jak się okazuje, niestety bardzo często, a na pewno za często, skutecznie. Chociaż, co bardzo źle świadczy o kontaktach operacyjnych czy agenturze Departamentu I, zdarzało się, że kiedy kapłan się postawił i nie dał się zwerbować, wcale to nie owocowało niewydaniem paszportu. Zwykle więc słabość danego kapłana decydowała, że godził się na układ związany z paszportem i współpracą.

**J.M.R. – Gdyby zasada była inna, gdyby każdy, kto nie dał się zwerbować, nie otrzymał paszportu, to byłoby to dosyć proste. W Kościele wszyscy by wiedzieli, że ci, którzy wyjechali na studia, to właśnie są współpracownicy.**

**J.Ż. – Ale ja mówię o informacjach z akt...**

**J.M.R.** – Chodzi mi o to, że oni nie mogliby odmawiać paszportu każdemu, kto nie dał się zwerbować, ponieważ zdekonspirowaliby swoje działanie. Ale żeby zakończyć temat współpracy, proszę powiedzieć, jaka była skala tego zjawiska na gruncie kościelnym, jaka była skala w odniesieniu do duchownych i do działaczy katolickich?

**J.Ż.** – Wszystkie dane liczbowe, które podajemy jako historycy, tzn. 10–15 proc., to są dane pochodzące ze statystyk Biura C. Biuro to prowadziło różnego rodzaju statystyki dotyczące między innymi TW, którzy znajdowali się w gestii Departamentu I, II, III czy IV. Te dane ukazują tylko i wyłącznie, ile osób zostało zarejestrowanych jako TW przez funkcjonariuszy SB, w zgodzie z obowiązującymi procedurami. Natomiast nie ma w tych danych informacji, ile z tych osób historyk zakwalifikowałby jako TW, ile faktycznie podjęło współpracę, na jak długo. To jest szczególnie ważne w konfrontacji z tymi przemianami pokoleniowymi, o których mówiłem, i pojawiającymi się nowymi instrukcjami dla funkcjonariuszy, dotyczącymi metodologii werbowania kapłanów. Wytyczne z czerwca 1973 r. dają bowiem pewną pokusę funkcjonariuszowi, by sam ocenił dyspozycyjność kapłana, jego stan świadomości co do charakteru prowadzonych z nim rozmów. To była diabelska sztuczka, polegająca na tym, by także sam esbek tak ustawiał swego rozmówcę, ażeby zdobywając potrzebne mu informacje, broń Boże, nie nazywał rzeczy po imieniu. A zatem nie donosimy, ale prowadzimy z księdzem „dialog”, ksiądz nie jest konfidentem, ale „partnerem”. To ówczesne rozmiękczenie mózgu i stanu podwyższonej czujności niestety przynosiło efekty. Zapewne nie zawsze taka dyspozycyjność wynikała z sygnałów od kandydata na TW. I tu jest pewien margines błędu, który dopuszczam, szczególnie w sytuacji, gdy brakuje nam materiału porównawczego. Zakładam, że może istnieć zapis funkcjonariusza niestusnie przekonanego, iż dany kandydat jest już zwerbowany i można go zarejestrować jako TW. Tezę tę można udowodnić jedynie w przypadku zachowanych akt, np. szczęście takie miał Wiesław Chrzanowski, który w latach 70. został zarejestrowany jako TW „Spółdzielca”; oficer prowadzący po pewnym czasie sam stwierdził, że rejestracja nastąpiła zbyt pochopnie, choć istniały przesłanki – jego zdaniem – by takie ryzyko podjąć. Niemniej zapis ewidencyjny pozostał. Bywają jednak sytuacje odwrotne; pewien kapłan-zakonnik występuje przez wiele lat w aktach jako kandydat na TW, a *de facto* opowiada wówczas więcej i chętniej niż w okresie, gdy był już zarejestrowany po tzw. rozmowie werbunkowej.

**R.T.** – Zdarzają się, choć rzadko, i takie dokumenty, w których funkcjonariusz rejestruje TW, ale jednocześnie zaznacza, że to wynika z jego przekonania, iż ten człowiek już dostarcza odpowiednich, użytecznych informacji. Natomiast sam zarejestrowany nie ma o tym pojęcia. To oczywiście nie znaczy, że sam nie czuje się donosicielem, tyle tylko, że nie wie o fakcie formalnej rejestracji. Bywa zresztą i tak, że po pewnym czasie funkcjonariusz stwierdza, iż się pomylił: zarejestrował TW, otrzymywał od niego informacje, ale gdy przystąpił do formalizowania tego „związku”, spotkał się ze stanowczą odmową.

**J.Ż.** – Łatwiej jest rozstrzygnąć, jak było naprawdę, jeżeli zachowały sięteczki pracy i teczki personalne. Niestety bardzo często jesteśmy skazani na domniemania, czyli na ten zestaw śladów, które pozostawiła nam do dyspozycji SB po palenisku z lat 1989–1990. Bardzo ciekawe są akta z funduszu operacyjnego, w których funkcjonariusz musi rozpisać wydatkowane pieniądze. Kolejnym i najważniejszym śladem, tropem pozwalającym na znalezienie

odpowiedzi na pytanie o intensywność współpracy i jej szkodliwość, są akta SOR-owskie (czy szerzej: obiektowe). Pozwala to w sumie na zlepienie w całość tego pokruszonego przez bezpiekę garnka. Notabene, sam dokument – protokół niszczenia akt z 1990 r. – także jest cenną wskazówką; oficer prowadzący danego agenta pisze bowiem, o kogo chodzi i z jakich lat pochodzi materiał „brakowany”.

**R.T.** – Trzeba bardzo ostrożnie poruszać się po tym polu. Czytałem dokumenty, w których ksiądz został zarejestrowany, a później sam funkcjonariusz przyznawał, że się pomylił.

**J.M.R.** – **Czyli jest taki margines: kto się samooszukiwał? Czy funkcjonariusz, że już zwerbował, czy ksiądz, że przecież nie jest współpracownikiem, chociaż chętnie współpracuje?**

**R.T.** – Jest taka furтка, którą bezpieka zostawia swoim donosicielom. Osoba werbowana mówi: „w żadnym wypadku proszę nie traktować mnie jako konfidenta, ja mogę się z panem spotykać, możemy wymieniać różne uwagi, ale nie zamierzam na nikogo donosić”. Funkcjonariusz na to odpowiada: „oczywiście, gdzież ja bym oczekiwał od księdza donosów, nie, skąd, będziemy się wyłącznie poruszać w obszarze dla księdza bezpiecznym”. W aktach ks. Malińskiego funkcjonariusz zapisał, że spotkania mogą się odbywać „pod warunkiem, aby go [tzn. księdza] nie traktować jako agenta lub pracownika wywiadu. Zgodzono się, że nasze wzajemne kontakty traktować będziemy na zasadzie »równego z równym«”. Oczywiście funkcjonariusz chętnie na to przystaje. Czemuż nie, niech ksiądz nazywa to jak chce, byle dostarczał informacje i byle mógł również przekazywać w drugą stronę pewne sugestie. Innym sposobem usprawiedliwienia donoszenia było wmawianie sobie samemu – a dziś również opinii publicznej – że była to praca „dla wywiadu”, „dla kontrwywiadu”, „dla dobra Polski” itp.

**J.M.R.** – **Dla jasności chciałbym tylko jedną rzecz podkreślić – księża czy intelektualiści katolicy to są ludzie z pewnym wykształceniem, a trzeba powiedzieć w zgodzie z prawdą tamtego czasu, że ludzie średnio wykształceni orientowali się, czemu może służyć to, że się spotykają z bezpieką. Tak że sam fakt kontaktów, bez względu na to, jak ktoś je odczytywał, nazywał itd., jest czymś jednoznacznie nagannym.**

**R.T.** – Tak, w tamtych czasach nie było co do tego wątpliwości. Każde spotkanie z bezpieką (także z bezpieką, która przedstawia się jako wywiad albo udaje milicję), wykraczające poza sytuację urzędową, taką jak wezwanie na komendę, protokołowane przesłuchanie, zatrzymanie na 48 godzin, rewizja w domu itp., traktowane było jako wstęp do donoszenia, do zgody na rolę „kapusia”. Takie postępowanie było jednoznacznie naganne i wszyscy o tym wiedzieli, wszyscy bez wyjątku. Wmawianie nam dzisiaj, że spotkania w domu, w kawiarni, w parku, w samochodzie czy we wskazanym mieszkaniu z cywilnym funkcjonariuszem uważało się za niewinną pogawędkę – tym bardziej, gdy po pierwszym takim spotkaniu następowało kolejne – jest próbą potraktowania nas jak idiotów, którzy nic nie wiedzą o czasach PRL.

**J.Ż.** – Oczywiście, że podejmowanie rozmów z bezpieką wiązało się z ryzykiem wpadnięcia w sieci zła; jednak, niestety, mam wrażenie, że im kto „mądrzejszy”, a na pewno im bardziej

pyszny, tym łatwiej w tę sieć się wplątywał. Oto przykład kapłana-zakonnika, który prowadził przez lata „grę” z SB. Jej celem było uzyskanie zgody na wydawanie paszportów dla jego zgromadzenia. Faktycznie, misja się powiodła. Tylko za jaką cenę? Inny przykład: pewne osoby (mam na myśli co najmniej dwóch duchownych i jednego świeckiego) wyjeżdżają z Polski do Włoch. Warunkiem było podpisanie zobowiązania do współpracy. Podpisują. Wyjeżdżają do Rzymu, a tam – rzecz jasna – unikają kontaktu z ambasadą przy Kwirynale, aż do czasu przedłużenia paszportu. Przypomniano im o zobowiązaniu. A ci mówią: „ależ ja od początku wiedziałem, że nie zamierzam z wami współpracować; jeśli nie dacie mi przedłużenia, to ja zostaję”. W jednym przypadku tak się stało, w drugim kapłan ten dostał paszport „europejski” dzięki swym międzynarodowym koneksjom. Wygrali! W aktach IPN znajdują się jako TW. Co z tych opowieści wynika? Otóż, w odróżnieniu od innych środowisk, jedynie kapłani byli narażeni na tak powszechne i dogłębne mobilizowanie ich przez SB do świętości i nieskazitelności. To prymas Wyszyński mógł sobie powiedzieć, że „niech sobie podstuchują, ja i tak nie mam nic do ukrycia”. Ale warto się zastanowić nad własną biografią i czynami, o których byśmy nie chcieli słyszeć z ust drugich czy trzecich... Osobną kategorią są kapłani, którzy zaprzyjaźniają się ze swoimi oficerami prowadzącymi. Jeden taki przypadek znam z lat 60.; wieloletni agent – zapomniany zakonnik – jest wzruszony, że oficer pamiętał jako jedyny o jego imieninach. Przyniósł mu prezent.

**R.T.** – W okresie rozkładu systemu komunistycznego bezpieka starała się zagwarantować sobie „łagodne” przejście do nowej, jeszcze nieznannej rzeczywistości politycznej. Stąd „zaprzyjaźnianie się” funkcjonariuszy z ich agentami, wyświadczenie sobie nawzajem rozmaitych drobnych – i nie tylko drobnych – przysług, wchodzenie w rozmaite kontakty „biznesowe”, takie jak np. zatławianie formalności spadkowych, własnościowych, budowlanych, często też związanych ze sprowadzeniem zagranicznego samochodu czy dyskretną wymianą waluty. Księża nabierają zaufania do swojego „oficera prowadzącego”, czasem nawet po cichu udzielają mu ślubu albo chrzczą jego dzieci. Nic więc dziwnego, że wierzą swojemu „opiekunowi”, gdy w 1989 czy 1990 roku przynosi on wiadomość o zniszczeniu wszelkich śladów dotychczasowej współpracy. Czasem zresztą funkcjonariusz rzeczywiście je niszczy, zaktądając, że rozmaite kopie, odpisy, mikrofilmy czy zapisy ewidencyjne także zostaną zniszczone.

Rozczarowanie przychodzi po kilkunastu latach i często ma przebieg dramatyczny, szczególnie jeżeli przez te lata wstydlive fakty zostały wyparte z pamięci, a nieznające ich otoczenie utrwalało obraz kapłana zasłużonego dla ojczyzny i Kościoła.

**J.M.R.** – Rozmawialiśmy o próbach ujarznienia Kościoła, środowisk katolików świeckich przez totalitarne państwo. Trzeba o tym mówić, przypominać, by nie zatarta się prawda o komunizmie. Jednocześnie trzeba dać świadectwo, że przy wszystkich opisywanych tu słabościach duchownych i świeckich, Kościół w Polsce przeprowadził miliony wiernych przez kilkudziesięcioletnią gehennę; inspirował i oślaniał ich dążenia do wolności; walczył przyczynił się do odzyskania Niepodległej. To wreszcie ten Kościół dał światu Papieża, bez którego trudno sobie wyobrazić upadek komunizmu w skali świata. W wolnej Polsce odnajdujemy Kościół, który – mimo zadanych mu ran – przeniósł nienaruszony depozyt wiary, pozostał wierny Bogu, człowiekowi i narodowi.